

Dedykuję Teenagersom z Nowej Huty: Elżbiecie Łuckość, Ewie Halinie Biernat, Jolancie Brożek, Joannie Makiej, Tadeuszowi Gogoszowi, Ryszardowi Szczudłowskiemu, Ryszardowi Wilkowi, Stanisławowi Alkerowi, Stefanowi Rzytkiemu, Jerzemu Zielińskiemu, Jerzemu Szwejkowskiemu, braciom Jakubowskim, Wacławowi Kraszewskiemu, Zygmuntowi Schornsteinowi, Jerzemu Ochońskiemu, Piotrowi Pałamarowi, Krzysztofowi Partyce i wielu, wielu innym.

Znalazłam taki tekst. Kto i kiedy to napisał? I co Teenagersi myślą dzisiaj, po 50 latach? Bardzo jestem ciekawa opinii tamtych teenagersów – może ktoś napisze?

Młodzież

Ów nieskomplikowany fakt, że w Nowej Hucie wyrosły punktowce - zauważyli wszyscy. Punktowce są wysokie, kolorowe, stoją przy drodze z Krakowa na plac Centralny. Nie należy sądzić, że postawiono je tylko dla ozdoby tego wyłącznie szlaku, a poza tym nowoczesnej architektury w Nowej Hucie nie ma. Jest osiedle „Szklane Domy”, jest Osiedle Kolorowe.



Fot. E. Węglowski

Niedaleko stąd eksploduje z siłą dynamitu zapach kilkunastu tysięcy róż, kwitnących na najpiękniejsze ulicy w Polsce - na nowohuckiej Alei Róż. Zrobiło się z tego morze błota, orgia wykopów, szaleństwa rusztowań - wcale miłe miasto. Pardon, dzielnica wielkiego Krakowa.

Wszyscy zauważyli, że wyrosły wspaniałe punktowce. Nikt nie zauważył, że w Nowej Hucie dorosło nowe, drugie pokolenie. Przed 13, 12 laty przyjechali tu na chłopskich furmankach ze wsi, opatuleni w jaskrawe chusty, kraciaste szale i wprowadzili się do komfortowych mieszkań. Synowie i córki tych, którzy z Krakowa, Śląska, Wadowic i Kłaja ściągnęli, aby stworzyć nowe miasto. Siedzę w ogródku koło kawiarni „Bambo”, nad kawiarenką najstarszy punktowiec Ingardena wspina się na przemian malowanymi kolorami loggii, aż po 11 piętro. Ładny dom. Poniżej są kolorowe parasole kawiarni w ogródku. Lipcowe słońce rozjaskrawia czerwień, błękit, zieleń. Po drugiej stronie ulicy łąki ciągną się w stronę Wisły. Środkiem jada tramwaje i autobusy, które wiozą ludzi i wieści ze Starego Miasta.

Teenagersy Nowej Huty w słoneczne południe powędrowały nad zalew lub nad Wisłę. Jacy oni są? Nie oczekujcie uniwersalnej formułki, która załatwi wszystko: wrzask dziatwy na podwórkach, plotki młodych płci obojga w MPiK, hece big-beatowego wieczorku w „Ognisku” i modę na czytanie Sartre`a pod ławką w klasie maturalnej. Takiej formułki, sprowadzonej do równania $2 + 2 = 4$, ułożyć się nie da. Sprawa jest skomplikowana tak, jak skomplikowane było dorastanie tego pokolenia. Kilku młodych ludzi w ogródku przed kawiarenką „Bambo”. Wieczór. „Chodźcie, jest wspaniała prywatna, rodzice wyjechali!” - zachęca wysoki blondas lat 17. Trzech chłopców i trzy dziewczyny wychodzą. „Lubię długie zdania u Faulknera. To od razu wciąga w atmosferę ...” - mówi szczupła szatynka w dżinsach. „Cholera, jutro znowu mamy próbę chóru. Od tygodnia chodzę z próby na zmianę do Huty i z Huty na próbę” - skarży się ktoś spośród paczki dwudziestolatków, która obsiadła sąsiedni stolik pod parasolem. „O Baškę pytała milicja. Znowu jakaś granda” - łowią szept, idąc do kontuaru po wodę mineralną, której ... nie ma. Szept słyszałem od stolika młodych, 17-letnich dziewcząt. Suma tych spraw nie daje żadnej uniwersalnej formuły, dlatego jej nie oczekujcie.

Nie było na początku mieszczącej naftaliny i buduarowego piżma. Były zwykłe mieszkania, gdzie nie raz i nie dwa węgiel i ziemniaki składano w wannie. Dzieci grasowały wśród rozkopanych placów i ulic, chowały się w wielkich betonowych przepustach, buszowały w stertach cegieł. Starsze bachory chodziły „zaszumieć”. Kamieniami porozbijając wszystkie latarnie na osiedlu A-1 czy A-2. Udawało się. Przychodziła milicja - uciekały jak wróble. Po daszkach szop, pod rusztowanie, za deskami. Zaszumieć - tak to się nazywało. Określenie zapożyczone od starszych, to nie był ich wymysł. Ze słownika pierwszego młodego pokolenia Nowej Huty. Pokolenia Ożańskiego, Szczygłów, Lovellów. To było naprawdę bohaterkie pokolenie budowniczych - mówcie, co chcecie. Może bardziej dbali o własną stawę niż o stawę miasta. Zgoda. Ale odwalili wielki kawał roboty. Potem miasto było już gotowe, ulizane, wystrojone kwiatami i witrynami sklepów. Minęła romantyka budowy. Dzieci było jak maku. Pełne rozwrzeszczane podwórka. Przestały im wystarczać zabawy w berka i budujemy mosty dla pana starosty. Dorastali sami. Mieli po 15,



16 lat, ci - którzy przyjechali tu maleńkimi dziećmi. Słyszeli o krakowskiej „Piwnicy”. Rozpoczęła się era piwnicznych wędrówek, w najdalsze zakątki, gdzie gromadzili się na starych kanapach z wystającymi sprężynami, pili wino po 12 zł, palili papierosy i opowiadali sobie o wspaniałych i bohaterskich czynach szeryfów i kowbojów. To był romantyczny kraj ich „wielkiej przygody”. Marzyli naprawdę o pięknych czynach, ale dobrze nie wiedzieli, o jakich.

„Wypatrując końca naszego celu, nigdy nie zdajemy sobie sprawy, że wypatrujemy początku nowego”. Tak właśnie jest z drugim pokoleniem Nowej Huty. Początek czegoś zupełnie nowego, chociaż przed chwilą wydawało nam się, że to drugie pokolenia zamyka już jakąś dawną sprawę, epokę, przeżycie. Tymczasem i jedno, i drugie. Słowa te napisała młodzieńka, jasnowłosa poetka z Nowej Huty, Ewa. W tym roku zdała maturę, teraz pojechała do Olsztyna - nazwała to „piękną ucieczką do cywilizacji”, a po wakacjach będzie studentką I roku Akademii Sztuk Pięknych. Chciała iść na polonistykę, ale jej odradzili. To nie jest wykształcenie dla pisarza. Ponieważ Ewa również maluje - trudno powiedzieć na pewno, czy ASP stanowi odpowiednie wykształcenie dla malarza. A więc spotkałem się najpierw z Ewą. To było również po mojej wizycie w ogródku. Z ogródka bowiem oglądałem sceny na drugiej stronie ulicy godne zapewne pędzla Watteau, który malował staroświeckie pikniki na tonie natury, posiadające jednak nieco mniej wdzięku. Rodziny zgodnie ułożone na kocu, wałówka i ćwiartka, karty. „Kraje. Przebija. Tata, asem go!”. Teenagersy asystują pilnie przy kartach i sami chętnie biorą je do ręki. Trzeba jednak umieć spojrzeć na te pikniki: oto ostatki obyczajowości, przywiezione ze wsi przed 10 laty. Ci, którzy zdążyli z owej obyczajowości wyrosnąć prędzej, ich sąsiedzi - patrzą już na to krzywym okiem, drwinkują. Więc wkrótce trzeba będzie zatrzeć na odwrót dla tych ostatnich, zatwardziałych.

Już wtedy, w ogródku, zastanawiałem się, czy powinienem pisać o Ewie i Sylwku. Bo Sylwka też poznałem w kawiarence domu kultury, urządzonej w myśl ostatniej mody, w superhigienicznej nowoczesności. Sylwek pracuje na walcowni. Jest członkiem zespołu Pieśni i Tańca Huty im. Lenina, ma 24 lata i należy zastanowić się, czy jest z pewnością typowy dla swego środowiska. Podobnie należałoby chyba zapytać o Ewę; może nawet z kilkoma wykrzyknikami. Bo przecież młodzież Nowej Huty nie składa się z samych poetów. Ale z pewnością młodzież ta ma swoje wielkie marzenia, bo marzenia są zawsze przywilejem młodości. Nie zawsze owe marzenia, ambicje i chęć pięknych dokonań kieruje się w stronę

mowy wiązanej. Nie zawsze balast natrętnych myśli o świecie znajduje uporządkowanie w strofach wierszy, nie zawsze następuje ów zabieg higieny psychicznej, którego produkt może też przynieść pieniądze i sławę. Boję się jednak sądzić po teenagersach, których widziałem na wieczorku big-beatowym. Godzinami trzęsą się w tańcu, który ma w sobie coś z twista, coś z madisona, odrobinę z rock`nrolla, nie składają przed partnerkami tradycyjnego ukłonu; tylko porywają za rękę, robią przy tym jakiś tick głową, niby pytanie, niby powiadomienie, że „tańczymy, mała”. W tańcu, stworzyli zupełnie nowe figury, nie znane profesorowi Wieczystemu, doktorowi podrygu, a nazywane „kogucik”, „dżajfa”, „motylek”. Wiem, na czym polega ostatni: kiwa się nie najmądrzej głową. Sylwkiowi bardzo się to nie podoba. „Nie rozumiem tych smarkaczy - powiada - Tylko by tańczyli. I co za figury, co za wygłupy! Ja tam wolę tango, walca ...” Zważywszy, że Sylwek, mocno zbudowany, niebieskooki przystojniak, z krętą jasną czupryną - taki, co to podoba się dziewczynom, wybrzydza się na owe „dżajfy” - można by uznać, że jest niezbyt typowy. No, ma te swoje 24 lata. Spojrzenie na sprawy dojrzałe. Sam przyznaje, że w młodych latach był podobniejszy do tych młodych. Sylwek mieszka 11 lat w Hucie. W tym samym mieszkaniu. Ojciec, matka, pięcioro rodzeństwa. On najstarszy. Już tutaj skończył zawodową szkołę hutniczą, ale nie udało mu się skończyć technikum. Zaczął pracować, żeby pomóc materialnie rodzinie, trudno mu było połączyć pracę z nauką. Chciałby zresztą jeszcze wrócić do technikum. Zaczął pracować, żeby pomóc materialnie rodzinie, trudno mu było połączyć pracę z nauką. Chciałby zresztą jeszcze wrócić do technikum, skończyć naukę. No, bo dopingiem jest awans rówieśników z tego samego podwórka. Akademia Górniczo-Hutnicza po technikum, studia medyczne, humanistyka ... Sylwkiowi nie wyszło. Chociaż rodzice mieli ambicje. Bo tutaj w Nowej Hucie, rodzice mają wielkie ambicje. „Niech dzieci idą wyżej niż ja”. I dzieci idą wyżej.

W opustoszałej lipcową porą kawiarni „Violinka” (Młodzieżowy Dom Kultury „Ognisko”) spotkałem bardzo Młodą Poetkę, która z wdziękiem 18-letniego dziewczęcia przechadzała się pośród stolików, ani na chwilę nie zapominając o roli, jaką wyznaczyła jej poezja. Otóż młoda wybranka muz prowadziła w „Ognisku” kółko poetyckie, grupujące kilku bardzo młodych ludzi. Kółko przygotowało montaż poetycki na estradę, złożony oczywiście z własnych wierszy, póki polonistka z liceum nie wmieszała się w sprawę; zakazała młodzieży licealnej bywać w kawiarni „Violinka” i jej przyległościach czyli „Ognisku” i urządzać tam jakieś kółko poetyckie, zamiast w szkole macierzystej, do której każdy elew winien czuć bezgraniczne przywiązanie i

wdzięczności. Tak więc montaż estradowy tylko z nazwy pozostał estradowym, bo na żadnej estradzie go nie wykonano. Teraz, kiedy Bardzo Młoda Poetka otrzymała chwalębnie patent dojrzałości, będzie mogła sfinalizować sprawę młodych poetów Nowej Huty i ów montaż wystawić. Jak z poprzednich danych wynika, Ewa była do niedawna uczennicą XI klasy, tyle samo zwykłej, co nie niezwyklej. Zwykłej klasy tych, którzy wkuwali algebrę i historię, ale dla postronnych obserwatorów na pewno niezwyklej. Oni sami patrzyli niejednokrotnie z zazdrością na kolegów od Nowodworskiego czy Sobieskiego, bo to stare licea, z tradycją i historią. A nie chcieli za nic być gorsi od tamtych. Nie sądzę, aby byli inni, niż młodzież Krakowa, Lublina czy Konina.

Ale Nowa Huta to jednak pewna specyfika. Ich rodzice często, dopiero w ostatnich latach doznali dobrodziejstw awansu zawodowego, już jako dorośli otrzymywali tytuły techników i inżynierów, pokonując po drodze wiele trudnych barykad. Oni pierwsi szli normalną drogą. Od młodości - widząc zmagania rodziców - mieli ambicję zostania kimś. Mieli jeszcze do pokonania ową różnicę startu, jaka istniała pomiędzy nimi a tymi, których dom od dziecka obdarzył przywilejami i zdobyczami cywilizacji i kultury. Zdawali sobie z tego sprawę, nadrabiali braki. I kto wie, czy w rezultacie nie zdobyli wyższego poziomu od innych. Bardziej nęciły ich wspaniałe krainy muzyki, Chopina, literatury wielkiego Jean Paula czy Alberta Camus, kolorowe światy Utrilla czy Renoira. Chcieli to wszystko znać, chcieli tam wtargnąć, chcieli wiedzieć. Nieraz na lekcji nauczyciel gromił surowo: „Nie czytaj na lekcji. Pokaz, co tam masz?” I okazało się, że Steinbeck, Hemingway lub Sartre. „Drogi wolności” - jeszcze nie dla ciebie!” gromił pedagog. Ba, ale przecież to było nieumówionym znakiem: kto nie czytał „Muru”, „Dżumy” czy „Gron gniewu” - nie liczył się. Wytworzył się swoisty snobizm na literaturę. Najciekawszi ciągnęli kolegów i koleżanki do salonu wystawowego Towarzystwa Miłośników Sztuk Pięknych przy Alei Róż. Oglądali z wytrzeszczonymi oczyma, szukali klucza do odgadnięcia tajemnic sztuki plastycznej. Jedna z koleżanek miała piękną płytotekę z utworami Chopina. W wolnych chwilach mówili: „Idziemy do Baśki na Chopina”. Słuchali Chopina, nie big-beatu. No tak, ale czy nie mieli upodobań godnych prawdziwej młodości? Oczywiście, urządzali „prywatki” z winem, tańczyli i rozmawiali według kanonów konwersacji salonowej. Kończyło się zwykle kłótnią czy wielki Jean Paul musiał świntuszyć, a jeśli nie musiał, to jak mógł to wyrazić inaczej?

Mieli inny start w porównaniu z rodzicami. Przeważnie w każdym domu był pokój dziecienny, który młodszy odstępował maturzystom na naukę. Mieli telefony - korzystali z nich, gdy nie znali odpowiedzi na jakieś pytanie. Dzwonili do lepiej poinformowanych kolegów. Dyskutowali o wyborze zawodu. Zgodnie z zamiłowaniem, nie dla forsy! Baśka od Chopina wybrała ... matematykę. Większość politechnikę i AGH. Sporo polonistykę, socjologię, historię, psychologię. W gruncie rzeczy ich zamiłowania były dalekie od techniki, mieli jej dość na co dzień. Począwszy od hutniczego kolosa, który dymił na horyzoncie, skończywszy na ojczym rodzin, którzy nieskończenie roztrząsali problemy hutnicze, oraz na sprzęcie zmechanizowanym: szumiących pralkach, lodówkach, gadających bez przerwy telewizorach. Te przedmioty bowiem były fetyszami Nowej Huty, podług ich ceny i jakości licytowali się czcigodni rodzice na giełdzie godności i szacunku. Posiadaczy telewizora „Tesla” z ekranem 21 cali ceniono o 7 cali więcej niż posiadaczy 14-calowego „Neptuna”. Na owych telewizorach nierzadko staranne mamy układały makatki, stawiały porcelanowego jelenia, a nad potężnym łóżem w sypialni wieszały oleodruki Pana Jezusa na Górze Oliwnej, czy też Ostatnią Wieczerzę, która w młodym wieku grzeczne dzieci nazywały „Pan Jezus w stołówce”.

Od owych dzieciennych pokoi nierzadko zaczynała się rewolucja. Reprodukacja Renoira czy Degasa, Nikifora czy Cybisa. Na półkach książki przewrotnych panów Diderot czy Prevost. Młode pokolenie zaczynało wyrównywać dysproporcję, jaką powstała w Nowej Hucie między standardem cywilizacyjnym a rozwojem kulturalnym. Adapter i płyty wypierały swojską muzykę, którą produkował przybyły ze wsi dziadek, po ćwiartce śpiewając na cały blok chrypliwym basem „Co to za gospodarz, co nie ma chałupy”. Oczywiście, jeszcze nie wszystkich dziadków zdołano wymienić na adaptery, ale statystyka z roku na rok kształtuje się lepiej. Zresztą obyczajowość domu przeróżnymi mogła się poszczycić przejawami: ze wsi, z miasta; starego i nowego. Tata nie szedł nad wodę zalewu w największe upały, bo wstydził się zdjąć portki, mam protestował, gdy dzieci, a zwłaszcza dziewczyny zapraszały kolegów do domu, czy koleżanki. Więc od młodości, od czternastu, piętnastu alt spotykali się w klubach, kawiarenkach, domach kultury. Od lat szczeniących niemal zaczęli pic czarną kawę; na co patrzono ze wstrętem i obrzydzeniem, jakby mała czarna miała zaszkodzić młodzieży pod względem moralnym (dosłownie - pewna nauczycielka!). Tata i mama mieli ambicje kulturalne niewysokiego rzędu. Mianowicie - aby syn grał na akordeonie. Na instrument wydawali nieraz bająnskie sumy, żeby syn wspinał się na wyżyny muzycznej maestrii. Wszystkie szkółki

muzyczne w Nowej Hucie notowały niesłychany napływ uczniów. Każdy to podobno talent od kołyski. Ogromna większość nie miała zupełnie słuchu. Rodzice robili wówczas awantury. „Jak był mały, to przebierał już palcami po beciku. Urodzony do akordeonu!”. Na całe szczęście sama młodzież była rozsądniejsza. Potrafiła korzystniej wybierać dla siebie.

Powiecie mi: dzieci wrzeszczą na podwórkach, teenagery znikają na kilka dni z domów, młode dziewczęta przesiadują w kawiarniach i nawiązują flirty. Za mało opieki, za dużo dzieci! Wielu nie chce się uczyć. I pan, reporterze, chce nas przekonać, że w gruncie rzeczy jest dobrze? Chcę, oczywiście! Pokazałem sprawę w jej rozwoju, w ciągu dziejowym. Fakt, że Nowa Huta wydaje własnych poetów, socjologów, historyków i inżynierów, którzy tu wyrastali z krótkich majtek, kończy jedną epokę, a zaczyna nową. Młody robotnik, Stanisław Porzuczek, napisał wiersz, który bardzo mi się podoba. Miał go recytować na owym wieczorze poetyckim, który z powodu pani nauczycielki nie doszedł do skutku. Wiersz o róży, co „zastłuchana w melodię swoich ostatnich płatków, leżała zagubiona w kałuży. Pytałem mądrych i głupich ludzi, namalowanych na obrazku, bo malarz poszedł na ryby - czy piękna jest róża w kałuży”. Wreszcie kończy wiersz słowami: „Ta róża była w niebie, bo niebo było w kałuży”. Nie chciałbym przy pomocy tak zręcznych chwytów rozstrzygać problemu młodego pokolenia Nowej Huty. Przekazuję swoje obserwacje. Jest słońce upalne i rozżarzone, jest wiatr od Wisły. Siedzę pod kolorowym parasolem, u stóp punktowca, który wszyscy zauważyli i obserwują teenagersów. W słońcu kałuże wysychają.

A tekst powinni przeczytać dzisiejsi teenagery z Nowej Huty z czarnej wołgi, rozklekotanego trabanta, także ci, którzy na jubileusz 60-lecia Nowej Huty uznali, że najlepiej to uczcić tekstem Ważyka i w ogóle graficiarze!